

Sempłowska Złota niedźw

Stefania Sempołowska.



Z DNA NĘDZY



WARSZAWA

Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.

1909.

Stefania Sempołowska.



Z DNA NĘDZY.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

Odbitka z „PRAWDY”.

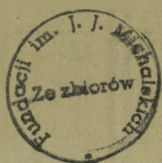


WARSZAWA

Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.

1909.

110-
8
—
118—



22.040

Musi mieć inną szalę Twoja waga,
Inaczej byłoby zbyt smutno... do dna.

Staff.

A końcem jego będzie kaźń i kraty,
Gdy los łaskawszy, szpital i przytułek —
Oto są błędne, beznadziejne kwiaty,
Które wyklęty hołduje zaulek.

Staff.

1. Niezawodny przytułek.

Areszt policyjny w ratuszu przedstawia się moim oczom jako dno nędzy. *Lumpen-proletariat*, znany nam tylko z opowieści lub krótkiego przelotnego zetknięcia — tu współżyje z nami w całej swej moralnej i materialnej niedoli, nagością swoją krzyczący. Wszystko tu głośno olbrzymi głosem „wyklętych wyrzutków, których pięść krzywdy w twarz bije znieściska”.

Okropne obrazy przesuwają się jak sen nigdy nie zapomniany.

Sceną, na której rozgrywały się przed moimi oczyma codzien, co chwila nowe tragedje, to IV-a celi na oddziale kobiecym. „Sala” wielka, brudna, źle oświetlona, zimna i wilgotna. Jedna ściana ocieka wprost wilgocią, przylegając do t. zw. (w ratuszowym języku) „Dumy”, po której ścianach dla porządku dniem i nocą spływa woda. Wielką izbę źle ogrzewa jeden piec, często zimny zupełnie, bo węgiel, gdzieś w drodze do tego pieca ginie. Wzamian za to, aby w sali było ciepło, okna są szczelnie zabite.

Okna te małe, brudne, zakratowane, okapem zasłonięte, niewiele dają światła. Wieczorem salę zalegają ciemności, których rozproszyć nie może jedna mała, kopcząca lampka, umieszczona wysoko w oknie wiodącym na korytarz. Lepiej to może, że obraz tej izby w mroku ginie, traci na ostrości; wygodniej śpimy, nie oglądając go dokładnie.

Srodek izby zajmuje ogromna prycza, na niej leżą sienniki, zawsze w ilości mniejszej niż liczba aresztantek; na podłodze pod ścianami i w przejściu szereg sienników, zajętych przez stare i chore aresztantki, które na wysoką pryczę dostać by się nie mogły. W izbie niema ani ławki, ani stołka (o męce, jaką sprawia niemożność siedzenia — dobrze wiedzą ci, którzy dłuższy czas w areszcie policyjnym spędzili). Powietrze jest tak mroczne, ciężkie, wilgotne, nieczyste, że wchodzący w pierwszej chwili nie rozoznają dobrze przedmiotów, a jednostki o wrażliwszym powonieniu i słabych drogach oddechowych duszą się lub dostają mdłości.

W sali (w której w zimie uniemożliwiono wietrzenie przez zabicie okien) przebywa przeciętnie 25 — 45-ciu kobiet! Czuć tam pot, brud i wszelkie wyziewy ludzkie.

W starym budynku brak wszelkich udogodnień, koniecznych dla higieny i porządku — poza tym jeszcze aresztantki są wprost pozbawione możności utrzymania osobistej czystości. W więzieniu niema nie tylko wanny, ale nawet umywalni; myć się można tylko na korytarzu przechodnim — pod zlewem, ale do tego mycia brak im mydła i ręcznika (ofiarowane aresztantce mydło, umożliwiające jej wypranie koszul i wymycie rąk — przyjmowane jest jak skarb). Ogół aresztantek nie myje się wcale, uważa to za przywilej „politycznych”; — poprzestają na rzadkim zresztą chodzeniu do łaźni. Grzebięń w areszcie policyjnym należy do przedmiotów nieprawdopodobnego zbytku. Gdy pierwszy raz zwróciłam na to uwagę, na 38 kobiet żadna nie miała grzebień, a ofiarowane przez

B. Prusa kilka tuzinów grzebieni musiałyśmy rozdać b. oszczędnie, by na dłużej starczyły. Młodsze „elegantki” przyczesują się grzebykami, służącymi zazwyczaj do podpinania fryzur, starsze nie czeszą się wcale. Roją się też od robactwa głowy i odzież aresztanek, sienniki, prycze, nawet podłoga więzienna.

Ogół aresztowanych na ulicy nie ma bielizny na zmianę, siedzą w tych brudach przez kilka tygodni, w tej samej koszuli, której dla braku mydła wyprać nie mogą. Brak der zmusza do sypiania w ubraniu; o nędzy tych lachmanów mówić nie potrafię.

Wiele z pomiędzy starych kobiet *nie może* lub nie chce się podnosić z siennika, załatwia wszystkie potrzeby fizyczne leżąc na swym barłogu, potym leży w mokrej i cuchnącej odzieży, na mokrym i cuchnącym sienniku. Podłoga w celi bezustannie zmoczona i brudna. Do okropnego odoru niemalże też przyczyniają się drewniane „parasze”, które na noc wstawiają do celi (cela w nocy jest zamknięta, dzwonka w niej niema). Raz w nocy słyszałam jak aresztantki dobiegały się do drzwi przez długi czas — nie zdołały jednak zbudzić śpiącej na odległym korytarzu dozorczyńni. W tych *samych paraszach* przynoszą wodę gorącą do mycia podłóg.

Wobec takich warunków nieczym są już braki łyżek, noża, naczyń do picia (wodę pija się z kranu ustami), niemożebność porządnego wyszorowania miski metalowej (z której jadają) bez piasku, ścierki, wody gorącej.

Aresztantki otrzymują rano chleb czarny, dwa razy dziennie gorące jedzenie: śniadanie i obiad oraz wodę gorącą na herbatę.

Te które herbaty nie posiadają, piją dla rozgrzania się czystą wodę. Jedzenie przynoszą w drewnianych naczyniach. Nie mogliśmy rozstrzygnąć, czy naczynia te, czy też samo jedzenie ma silny, bardzo przykry kwaśno-gryzący zapach — w każdym razie tak silny, że na czas wydawania jedzenia zamykałyśmy szczelnie drzwi naszej celi na korytarz, otwierając jed-

nocześnie okno, aby nie zatruwać powietrza w naszej celi.

W takich warunkach lokalnych siedzą zamknięte aresztantki bez zajęcia. Zgnębione swą niedolą, jedyną rozrywkę znajdując w opowiadaniach najczęściej smutnych lub strasznych. Natłoczone, potykające się jedna o drugą, obce sobie, o odmiennych upodobaniach, sprzecznych często interesach, w natłoku, w złych warunkach fizycznych, zdenerwowane życiowymi klęskami i przymusową bezczynnością, — co chwila prawie wpadają w kolizje. Cały też dzień słysząc w celi wymyślanie, kłótnie, nierzadko płacz i razy. Ileż ulgi doli ich przyniosłoby jakiegokolwiek zajęcia. Ogół aresztańtek chętnie chwytają podsuwaną im pracę, o ile nie jest ona przymusową pracą dla więźnienia. Te, które umieją czytać, nawet w tych niedogodnych warunkach czytywały pożyczane im książki o treści lekkiej i łatwej formie. Chętnie też szyły, robiły szydełkiem i t. p. zwłaszcza jeśli mogły pracować dla siebie (szyć koszule, obrębiać ręczniki, chustki, robić ciepłe włóczkowe rękawki, stopy i t. d.) lub wyrabiać coś na sprzedaż. Widziałam jednak i takie, które bardzo chętnie szyły dla słabszych, biedniejszych.

Męką aresztańtek jest brud, męką jest natłok, lecz bezsprzecznie i męką straszną jest bezczynność.

II. Starość bezdomna.

Celę IV zowią zwykle „celą kryminalistek”. W ciągu dwumiesięcznego mego pobytu w areszcie policyjnym przekonałam się, że nazwa ta nie odpowiada zupełnie rzeczywistości. Kryminalistki spotykają się w więzieniu śledczym na „Serbji”, w ratuszu stanowią małe odsetki;—tu męczy się tłum aresztowany na ulicy, to sala ńędzy ulicznej.

Podzielić je można z gruba na kilka grup: staruszki, prostytutki i jednostki aresztowane na skutek zajęć, zatargów z policją. Stare kobiety „babiny” stanowią olbrzymi procent aresztańtek policyjnych, a w miesiącach zimowych stanowią czasem więcej niż połowę uwięzionych. Słabe ptaki padają na mrozie. Bezsilne, samotne, bezdomne, bez środków do życia, wreszcie bez... papierów,—aresztowane przez policję na ulicy, osadzone w ratuszowym areszcie, zwykle wysyłane potym etapem na miejsce urodzenia.

Nędza i nieszczęście starości. Wiele z tych kobiet nie ma sił o własnej mocy przejść przez korytarz więzienny, do aresztu wprowadzają strażnicy wspierając je. Pada taka babina na siennik i leży cicho, napwół umarła. Zarząd więzienia próbuje umieścić je w przytułku — niema miejsce. Wiozą do szpitala jednego, drugiego, — lecz i tam niema miejsc. Widziałam tak bezsilną staruszkę, że strażnicy niesli ją przez korytarz na sienniku, umieszczono ją w szpitalu.

W dwa dni odesłano ją z powrotem do ratusza: nie była przecież chorą, była tylko starą. Więc leży taka biedota po kątach, na brudnych siennikach, aż przyjdzie dzień oznaczony, podniosą, pomogą wstać i wiozą do etapowego więzienia, gdzie czeka na wysyłkę do miejsca urodzenia. Co to kogo obchodzi, że obdarta, bosa, o własnej sile iść nie mogąca, nie rozumiejąca często, co do niej mówią; że tam dokąd ją wiozą nie ma nikogo, nie zna nikogo; cóż to kogo obchodzi, jak ona tam żyć będzie. „Miłosierna Warszawa” oczyszcza się z nędzy ulicznej.

Nie patrzmy na te twarze znękanę, na te stare i bezsilne członki, bo może nam przyjść na myśl, że ludzkim prawem istotom tym należy się opieka; nie patrzmy na te ręce od pracy zgrubiałe, bo mogłoby nam się zdawać, że społecznym prawem należy im się odpoczynek.

„Pani droga, mówi do mnie jedna, mam 68 lat, pracować już nie mogę, dzieci nie mam, cóż ja mam robić? muszę zebrać”.

„Ciężkie czasy przyszły, mówi druga, wyjdzie człowiek na ulicę, aby grosz uprosić, policja łapie. Z czegoż ja mam żyć sierota?” „Mąż ślepy, ja chora, skarży się inna,—poszłam ludzi prosić, upadłam na ulicy, podnieśli, do szpitala oddali—a teraz do ratusza na dwa tygodnie „odsiadki” za żebranię. Jak tu żyć! Śmierć brać nie chce, a ludzie żyć nie dają”.

Biedne suche wierzby, których gałęzie zielenią się jeszcze mimo starości!

Słyszając te skargi, patrząc na te łachmany ludzkie, myśląc o tym, co dalej z nimi będzie, przypominałam sobie, że podobno... gdzieś w Indostanie u buddystów szanują żebractwo. Ale my jesteśmy cywilizowani. Na przytułki dla starców nas jeszcze nie stać ¹⁾, nie stać nas jeszcze na emerytury starości — ale żebrać u nas już nie wolno. Chronią nas od mogącego oszukać żebractwa. Tak, sama widziałam w ratuszu względnie młodą żebraczkę, przy której w czasie rewizji policja z burzeniem znalazła aż 26 rb. Kawał groszal! Coprawda żebraczka ta była... ślepa. Tak, ale inne?... Przecież nie wszystkie są ślepe, nie wszystkie chore, a że są ślepe na duszy, że chore na nędzę życia, to dojrzeć trudno. Na szczęście w Warszawie nie wolno żebrać!

U niektórych dzikich ludów obowiązek moralny nakazuje zabijać starców; my, bardziej cywilizowani, jako ostatnią zdobycz życiową dajemy im areszt, policyjne więzienie. A przecież raz, kiedy użalałam się nad ich niedolą, jedna rzuciła mi okropne słowo: „lepiej tu niż w domu — mniej biją, jeść dają”. Bezna-dziejne tragiedje starości. Niema dla niej miejsca na świecie: ani w kółku rodzinnym, ani w szpitalu, ani w przytułku — areszt miłosiernie przytuli, przygar-nie na chwilę, potem rzuci etapom na pastwę. Cza-sem od etapu ratuje śmierć.

¹⁾ Mimo, że sprawozdawca „Kurjera Warszawskiego” tak często chwali miłosierdzie tych, którzy litościwie... tańczą na rzecz przytułków dla starców.

...„dobry Boże, gdy się zdarzy dzień zrozpaczenia, z którego nie wstana, Daj im łaskę, to szczęście nędzarzy, Daj im śmierć nagłą i niespodziewaną”...

Przychodzi do aresztu cicho i niepostrzeżenie zabiera ofiarę. Nikt nie spostrzega, że z pośród tłumu żywych, ubył jeden człowiek, jedno życie, że skończyła się męka jednego nędzarza.

W ratuszu są jednak ręce, które niosą tym starcom pomoc, ręce naprawdę miłosierne (miłosierniejsze od tych co grosz rzuca, trudy urzędzenia balu ponoszą) to ręce towarzyszek niedoli, aresztantek, ciemnego tłumu dziewcząt o których rozpaczamy, że nikt nie rozwinął ich uczuć, nie wychował ich duszy, a na barki których, w instytucji społecznej zwanej aresztem policyjnym — spada ciężar opieki nad starcami, ciężar, który społeczeństwo z siebie zrzuciło.

Na korytarzu więziennym często rozlega się krzyk, wymysły młodych na „stare baby”, na ich niedołęstwo, nieporządek. Często słyszałam nawet żaloszny płacz bitych staruch. Czy można się jednak dziwić, że dziewczęta niechętnie obsługują obce im kobiety, że gniewa je „nieporządek” bab tak dotkliwie dający się odczuć wszystkim mieszkankom aresztu? Gniew jednak stygnie prędko, jedna drugą uspokaja słowami „I my będziemy stare”. Natomiast ileż razy widziałam młode aresztantki spełniające najniższe posługi przy starych: myły zawałane ciało; czesały rojące się od robactwa głowy, wspierały chwiejące się na nogach, podawały jedzenie, karmiły, ratowały chore, zebrały od nas ubranie dla obdartych.

My względnie do nich zamożne, inteligientki, wychowane przez dom i szkołę, uważane przez władze za „społecznicze”, „polityczne”, — ofiarowywałyśmy czasem na ręce młodej porządkowej resztki obiadu, rosół, chleb biały, oddawałyśmy to... co pozostawało po zaspokojeniu naszych apetytów; — one są zawsze niedostatecznie, licho odżywiane, a przez cały czas nie zdarzyło mi się spostrzec ani razu, aby która z nich sama

zjadła powierzoną jej żywność. Oddawały je zawsze tym, które w ich przekonaniu najwięcej jej potrzebowały.

Nie roztkliwiały się sentymentalnie, jak my, nad nieszczęściem starych, walczyły z nimi nieraz o swoje prawo bytu, traktowały je często z grubjaństwem ludzi prostych, bez wychowania, — ale one jedne dość były ludźmi, aby traktować „te stare” szczerze po ludzku.

III. Choroba i śmierć.

Drugą kategorię, bardzo zresztą do pierwszej zbliżoną, stanowią chore, podniesione przez policję na ulicy. I dla nich niema miejsca w szpitalu. Jeden obraz utkwił silnie w mej pamięci, jakąś straszną siną grozą. Policja podniosła na ulicy nieprzytomną kobietę. Było podejrzenie, że to pijana, więc z cyrkułu przewieziono ją do ratusza, do aresztu. Była duża, bezwładna, ciężka. Strażnik nie mógł jej unieść, ciągnął przeto po ziemi (robił to zresztą możliwie delikatnie). Twarzy nie widziałam, oczy moje uderzyły tylko sine, nabrziałe nogi, które widać było z pod ściągniętej spódnicy. Złożono ją w kącie na sienniku. Felerz przyniósł jakieś krople. Chora i nazajutrz nie odzyskała przytomności, leżała milcząca, straszna, nieruchoma, z nawpół otwartymi oczyma, nie mogła przełknąć podanej jej czarnej kawy, nie reagowała na eter; już rano była tak martwo trupia, że brakło odwagi do rozcierania jej nóg i rąk. Pozostawiono ją leżącą w kącie a wokół wrzał krzyk, rozmowy, klótnie. Około godziny 4 po południu, gdy niedzielne widzenia spotęgowały gwar, chora umarła. Zwłoki przeniesiono pośpiesznie składając je... „w karcu”. Nikt nie wiedział kto ona, nikt nie ratował jej życia i chwili śmierci nik nie zauważył...

Wydało mi się profanacją śmierci, ten zgon wśród brutalności życia więziennego, te zwłoki w karcu złożone. Są ludzie dla których niema spokojnego miejsca na świecie nawet w chwili ostatniej. Tuli ich miłosiernie areszt ratuszowy. Była to niedziela — na widzeniu od naszych gości otrzymałyśmy kwiaty. Mimo sentymentalizmu żadna nie miała odwagi rzucić kwiatów na te zwłoki w karcu zamknięte. Kwiat mógłby uderzyć w nie jak uraganie.

Dwukrotnie w czasie mojego pobytu w ratuszu — przebywała tam w areszcie odsiadując karę — epileptyczka. Zwałyśmy ją „siłaczką” — bo często opowiadała o swej niezwykłej sile, pokazując z dumą mięśnie swych suchych rąk. Stała nerwowo podniecona, z obwiązaną głową, szukała ujścia dla swej chorobliwej energii. Nie zachęcana przez nikogo, nie wynagradzana za to, szorowała korytarze więzienne, robiła porządek w „Dumie”. To samo podniecenie, które gnało ją do ruchu, pracy, pchało ją i do awantur. W więzieniu szukała zwady z towarzyszkami; do więzienia dostawała się wskutek awantur ulicznych. A przecież dosyć było spojrzeć w jej oczy, usłyszeć jej głos, aby zrozumieć że to człowiek chory. W przytułku niema dla niej miejsca, ratusz przyjmie zawsze.

Wśród chorych najczęściej spotykałam warjatki. Czym jest warjatka w natłoczonej sali, czym jest życie nieszczęśliwej wśród tłumu aresztantek, łatwo sobie wyobrazić. Widziałam różne typy obłąkanych, jedne całymi dniami śpiewały, inne gadały powtarzając ciągle to samo, najliczniejsze jednak tonęły w snutku, zawodziły żałośnie dniem i nocą. Czy można się dziwić, że przygodne ich towarzyski, gdy im chore ani spać, ani mówić, ani myśleć spokojnie nie dają — niecierpliwia się i biją je nawet? Czyż można się dziwić, że ciemne, nie rozumiejące choroby umysłowej, gniewają się lub szydzą? Jak często na moje tłumaczenie „ona chora”, odpowiadały mi „ale, chora! — je doskonale, udaje tylko głupią — nie chce powiedzieć kto jest”.

Jedna młoda żydówka dniami całymi krzyczała że chce iść do szpitala, z dumą wołała „ja jestem warjatka nie k . . . a”.

W szpitalu przyjąc jej nie chcieli z powodu braku miejsca, musiała w ratuszu czekać na etap (odstawienie warjatów na miejsce urodzenia, to środek zastępujący danie im opieki). Ile razy spotykała nas na korytarzu, z oburzeniem gwałtownym opowiadała zawsze: „więzienie nowe to budują, a szpitala to zbudować nie mogą”. Inna, przyprowadzona do ratusza leżała przez dłuższy czas cicho, milczała uparcie, nie chciała powiedzieć, jak się nazywa.

Potym nagle zaczęła płakać; odtąd płakała godzinami całymi, głośno, żałośnie. Towarzyszki krzyczały na nią, biły ją, wypędzały z sali, ona płakała wciąż, aż coś w duszy rwało się od skarg tego płaczu.

Życie w tej głośnej, gwarnej gromadzie musiało ją męczyć, prosiła bowiem, aby pozwolono jej siedzieć w korytarzu na schodkach. Sama obłąkana czasem błagała, aby ją zamknąć „w karcu”, tak nerwom jej dokuczał tłum.

Oto jedna z okropnych scen na tle więziennego życia. Słyszę w IV celi krzyk jakiś cichy, płaczliwy, dziecinny, stłumiony głośnym śmiechem. Było w tym śmiechu coś tak strasznego, że pobiegłam zobaczyć, co się tam dzieje. W szarzącym zmroku zobaczyłam postać nagiej kobiety; stare, wychudłe, pochylone ciało, skurczone jakby się ukryć chciało i najmniej miejsca zając na świecie — ciało cuchnące uwalane okropnie. Poznałam starą siwą warjatkę, którą raz widziałam, gdy przechodząc przez korytarz upadła bezsilnie, a która od tygodnia leżała cicho pod piecem. Gnano ją wokół pryczy, uderzając ze śmiechem od czasu do czasu. Krzyk mój uciszył śmiech, a w tej ciszy staruszka skurczyła się jeszcze silniej — wlokła się na swój zawalany siennik. Dowiedziawszy się, że chcąc ją ukarać za nieporządek, ubranie jej (wyglądało ono jak podarty szynel żołnierski) wyrzuciły, zwróciłam się do aresztantek z propozycją, że przyniosę czystą

bieliznę, aby która z nich zechciała starą umyć i ubrać. Na to zerwała się siedząca dotąd spokojnie młoda dziewczyna: „Takie pani ręce jak moje! Dobrodzikał koszulę daję! dam tu 200 rb. — jeżeli pani ją umyje i ubierze”. Umiałam tylko przyznać, że szukałam wśród nich lepszej od siebie, któraby się zdobyła na to, na co ja zdobyć się nie mogłam. Znalazły się 4 pary rąk gotowych do usług — może tych samych, które przed chwilą wymierzały razy; 4 pary rąk, przed których gotowością służenia musiałam spuścić oczy — ja, która weszłam do celi, uczyć litości i miłosierdzia.

Wśród tej galerji warjatek widziałam dwoje dzieci. Józia 14—15 letnia, dawna uczennica gimnazjum kieleckiego, robiła wrażenie raczej dobrego, nierozwiniętego dziecka, nie warjatki. Ojciec (urzędnik w administracji rolniczej dużego majątku) umieścił Józię w Tworkach. Józia wyszła z siostrą dobrodziejką na spacer, a pozostawiona na chwilę sama w lesie, szła ciągle przed siebie, aż doszła do Warszawy. Mimo zimnych dni listopadowych, dziecko miało na sobie tylko koszulę, szlafrok szpitalny i pantofle. Policja zatrzymała ją i odstawiła do aresztu policyjnego. Dziecko było wyraźnie chore. Kilka razy dziennie krew rzucała się jej ustami, leżała przeważnie zimna i sztywna — czasem drzemiała jęcząc głośno z powodu bólu głowy, chwilami tylko odzyskiwała przytomność. I znów trzeba bić się w piersi. My t. zw. polityczne, posądzane o walkę za prawa ludzkie człowieka, zdobyliśmy się tylko na dostarczenie dziecku ubrania i żywności, pozwalając chorej leżeć w celi IV dusznej, zimnej, wśród dziewcząt z których każda mimowoli zarazić ją mogła. Po kilku dniach naczelnik więzienia posłał Józię do szpitala na Pradze — tu poznano szlafrok z Tworek; szpital praski, nie przeznaczony dla warjatów, zawiadomił tylko Tworki o obecności Józi. Przyjechała siostra miłosierdzia (?), oddano dziecko w jej ręce. Szpital w Tworkach zawiadomił już był ojca chorej o jej ucieczce, ojciec miał się zgłosić do Warszawy, „nie warto było” dziecka zabierać do Two-

rek. Siostra była, według słów Józki, tak dobra, że dała strażnikowi 20 kop. aby odwiózł chorą „do policji”. I przez cyrkuł wróciła Józka do piekła ratuszowego, od którego, jak sama skarżyła się, pękała jej głowa.

W piekle tym chora spędziła znów dni kilka, zanim przez prywatne stosunki udało się umieścić ją w szpitalu u Jana Bożego.

Inne dziecko, to małeńka 5—6 letnia żydówka; zginęła na ulicy, lub zgubiono ją rozmyślnie. Oddziałowa przyprowadziła ją do nas do celi; litowano się zrazu serdecznie nad dzieckiem, współczucie ostygło jednak bardzo, gdy się okazało, że dziecko jest niemową, może idjotką i że głowa jego pokryta parchami. „Niepodobno przecież narażać się na zarazę — biorąc dziecko do celi”. Niebezpieczeństwo zarazy przeto zjawilo się tam, gdzie w tłoku mogło być groźniejsze, spadło na towarzyszek z IV celi, na nie też spadła odpowiedzialność i trudy opieki. Dziecko płakało dniem i nocą, jadło żarłocznie, lecz nie trawiło — narażając sąsiadki swe, obok zarazy—na brak spokoju i skutki nieporządku. Wymysłano na małą w IV celi, nazywano ją „żydówką, przybłądą, parszywą”, a jednak przez te kilka dni, zanim naczelnikowi więzienia udało się przy pomocy adwokatów umieścić dziecko w zakładzie dla niego odpowiedniejszym, niż areszt policyjny, zanim znalazł dla niego miejsce na świecie, dziewczęta z IV celi opiekowały się nią, myły, karmiły, prały odzież.

IV. Dzieci więzienne.

Głos dziecinny w ratuszu!

Z przerażeniem usłyszałam pierwszy raz i głos dziecka i tupot nóżek dziecinnych na korytarzu więziennym. A przecież tyle dzieci w różnym wieku od niemowląt do podlotków przesuwają się przez areszt policyjny. Jest on bowiem i domem wychowawczym

dla dzieci *lumpen-proletariatu*. Wiele kobiet odsiadując karę policyjną, zabiera z sobą do ratusza niemowlęta u piersi lub starsze dzieci, których niema gdzie, niema przy kim pozostawić. Nie rozumieją one, że życie ratuszowe, jego atmosfera, obrazy, rozmowy, to coś, od czego należałoby dziecko za wszelką cenę uchronić, nawet wtedy, gdy dla niego obrazy ratuszowe go życia niewiele się różnią od wspomnień życia domowego. Dziwne—te dzieci w więzieniu są ciche i milczące. Słyszałam często płacz niemowląt, rozmów jednak dziecinnych, gwarzenia, śmiechu dziecinnego nie słyszałam nigdy.

Oprócz dzieci, które towarzyszą matkom, spotyka się i dzieci samotne, dzieci opuszczone przez rodziców, osierocone, bez papierów i t. p.

Przez tydzień przebywała w areszcie dziewczynka 12 letnia, aresztowana na granicy, gdzie ją rodzice pozostawili wędrując w świat. Odstawiono ją do Warszawy, jako do miejsca urodzenia, a do czasu odszukania rodziny zostawiono w ratuszowym areszcie. Dziecko na szczęścieabrały polityczne do swej celi i (zwykle pomieszcza się takie dzieci w celi IV), otoczyły opieką tak pocziwą i serdeczną, że „nigdy i nigdzie nie było jej tak dobrze”. Poprzednio była w służbie w jakimś zajeździe, z ratusza wziął ją ktoś z rodziny. Czy też dziecku temu u krewnych, na swobodzie—życie da coś więcej niż to, co mógł mu dać areszt?

Do dzieci zaliczyć muszę matkę-dziecko, dziewczynkę 15 letnią, odesłaną do aresztu z przytułku położniczego, gdzie przechodziła połóg. Nieletnią oddano następnie pod opiekę policji, która ze swojej strony odstawić ją miała do rodziców. W ratuszu siedziała, czekając na etap.

Żydóweczkę z małej miejsciny w Kieleckim, oddano do Warszawy do służby. Tu syn gospodarza zgwałcił ją. Trudno nam było porozumieć się z nią, gdyż mówiła prawie wyłącznie żargonem, wogóle zaś była mało rozwinięta, albo nawet zidjociała wskutek ostatniego przejścia. Tego co przeżyła, zdawała się

nie rozumieć zupełnie, nie czuła ani wielkości, ani powagi, ani grozy przeżytych chwil. Nie trzeba chyba nawet zaznaczać, że uczuć macierzyńskich nie miała zupełnie. Narzekała tylko na jedno, że piersi ją bołą. Piersi te bardzo nabrzmiałe, silnie rozwinięte, karykaturalnie wyglądały przy dziecinnej postaci. Zawsze cicha, bezmyślna, na nic się nigdy nie skarżyła, o nic nie upominała, o nic nie prosiła. Dwa razy tylko widziałam twarz jej rozjaśnioną uśmiechem: raz gdy dostała grzebień, aby mogła doprowadzić do porządku swoją wielką, roztarganą czuprynę (lusterko przyjęła obojętnie). Drugi raz, gdy dostała 50 kop. na drogę. Wszystkie aresztantki, młode, czy stare otaczały ją specjalną opieką. Wszystkie czuły w niej pokrzywdzone dziecko. Nawet antysemityzm w tym wypadku przycichł zupełnie. Zwracały się do niej z serdecznym współczuciem. Jednocześnie z wszystkich ust padały gromy na głowę nieznanego krzywdziciela.

Inna dziewczynka, dziecko nieledwie (16 letnia), po sztucznym poronieniu leżała w szpitalu, skąd na żądanie matki policja ją zabrała, aby odstawić nieletnią pod dach rodzicielski. Dziewczyna była jeszcze chora, miała ciągły krwotok, i wchodzenie na wysoką prycę wzmagało męczące ją ciągle bólesci. Mimo takiego stanu, w oznaczonym dniu poszła na etap. Śliczne, delikatne, ciche, nieśmiałe dziecko, za najmniejszą przysługę, za dobre słowo dziękowała smutnymi, zmęczonymi oczami. Miała na sobie karakułowy żakiet, jedwabną bluzkę i w kieszeni 3 kop. na drogę, 3 kop. o których mówiła: „mam trochę pieniędzy na drogę”.

Przez kilka tylko godzin były w ratuszowym areszcie, (przeniesione zaraz do więzienia przy ulicy Spokojnej) młode dziewczynki żydowskie, aresztowane w tajnym domu publicznym. Rano zbudziła nas starsza żydówka prostytutka, prosząc o radę dla świeżo przyprowadzonych do aresztu dziewcząt „porządnych dzieci”, które nie wiedzą, za co je aresztowano. Z rozmowy z nimi rzeczywiście zdawało się, że z wyjątkiem

jednej, reszta to nierozumiejące jeszcze życia dzieci, pchnięte przez rodziców, czy starszych na dno. Zdawały się nie rozumieć jeszcze ani swego życia, ani swego położenia, ani czego od nich chcą, czym one względem społeczeństwa zawiniły. Na myśl im, ma się rozumieć, przyjść nie mogło, aby odwrócić pytanie: z obwinionych przez społeczeństwo—stanąć w roli oskarżających za swą krzywdę. Posłano te dzieci do więzienia na Spokojną. Dłuższy pobyt w areszcie policyjnym dokończy napewno ich wychowania.

V. Prostytutki.

Wielki procent aresztowanych (plus—minus połowę) stanowią prostytutki. Aresztowane z różnych powodów, najczęściej za niewypelnienie przepisów regulamentacji: już to nie stawily się w oznaczony dzień w komisji sanitarnej, chodily nie po wyznaczonym im rewirze, nie posiadają biletu, urządziły po pijanemu awanturę z „gościem” lub policją i t. p. — wreszcie cały szereg pokutuje za popełnioną kradzież lub za towarzyszenie złodziejom. Jedne z nich odsiadują karę (t. zw. odsiadkę), inne oczekują etapu, który odstawia je na miejsce urodzenia lub na „pobyt”.

Ogół tych dziewcząt zna ratusz i one są tu znane; nowiejuszki stanowią zwykle mały procent. Wieczorem, gdy cele zamknięte i cisza na korytarzu zupełna, co jakiś czas slychać otwierające się drzwi z pokoju dyżurnej, rozlegają się kroki nowej aresztantki („nowa dusza do ratusza”). Rzadko kroki to niepewne, potrzebujące wskazówek oddziałowej; prawie zawsze są to dziewczęta, które drogę tę już znają. Kto raz wchodzi do ratusza, wraca tu często. 22 letnia dziewczyna, pokazując na swoją gęstą czuprynę, mówiła: „Ile mam włosów na głowie, tyle razy siedziałam w ratuszu”. Sławna w areszcie Mańka Kalosz obchodziła już jubileusz: 50-ty raz siedziała w areszcie. Ucieka ona ciągle z „pobytu”, gdzie

z żółtym pasportem pracy znaleźć nie może, *musi* wracać do Warszawy, *musi* kraść (patrz Konopnickiej „Pod prawem”). W ciągu tych dwóch miesięcy zdarzało mi się widzieć, że te same dziewczyny wracały do aresztu po 2 — 3 razy, a spotkałam i takie, z którymi poznałam się *na Serbji* przed 9 laty lub w ratuszu przed 5 laty, a życie ich przez cały ten czas upływało między więzieniem i pobytem. Kto raz dostaje się z aresztu na pobyt, skazanym jest właściwie na dożywotnią karę przymusowej kradzieży, aresztu i pobytu. Widać areszt i pobyt jako środek leczniczy na rany społeczne, nie są najskuteczniejszym lekarstwem.

Błądzą ci, którzy mówią o „duszy prostytutki”. Patrzymy zwykle na prostytutki, jakby wiązał je nie tylko zawód, ale nie pokrewieństwa duchowego, podobieństwo struktury duchowej, jakby stanowiły jeden typ duchowy „publicznej kobiety” — różnej zgoła od reszty ludzi. Tymczasem naturalnie jest tyle dusz, ilu ludzi. Spotykają się wśród nich te same i takie same typy, jakie spotykamy w innych sferach kobiet. Jedne są ciche i spokojne, inne burzliwe; jedne bierne, apatyczne, bez temperamentu; inne czynne, ruchliwe, podniecone; jedne szczerze i proste, inne sztuczne i fałszywe; jedne pokorne i uległe, inne dumne i zbuntowane; są i miłe i wstrętne, dzikie i łagodne, szlachetne i podłe i t. p. Nawet w tych dziedzinach duszy, na których warunki ich życia najsilniej odbiły się mogły — typy są różne: jedne podniecone zmysłowo, inne bierne narzędzia; jedne cyniczne, inne nieśmiałe i wstydlive. ¹⁾ Może to kogo śmieszyć, ale ja wierzę, że wśród

¹⁾ Spotkałam w ratuszu młodzieńką prostytutkę o tyl wstydlivą, że myła się w godzinach wcześniejszych, zanim inne aresztantki zaczęły spacerować po korytarzu. Inna była zrozpaczona szczerze, że aresztując posądzono ją o „nieprzyzwoitość”: podniesienie spódnicy w chwili, gdy przez ulicę przejeżdżał wyższy urzędnik policyjny. „Czyż mogłam być tak bezwstydną, przecież to hańba!”

prostytek obok perwersji i wyuzdania można spotkać czyste i niewinne dusze. Są tu wszystkie typy pośrednie aż do krańcowych: anielskiego i zwierzęcego. Wszystkie je dotyka wielkie nieszczęście, wszystkie dotyka wielka krzywda, ale każde nieszczęście inne, każda krzywda inna, tak jak każda dusza inna. Los swój przyjmują też rozmaicie: jedne nie rozumieją życia i niedoli swojej, inne są z nią pogodzone, tamte bojeją, tęsknią do lepszej formy życia, jeszcze inne buntują się, walczą.

Jedną z cech względnie ogólnych u prostytek (jak u większości kobiet) jest wielkie zamięłowanie strojów. Jaskrawa bluzka, chusteczka, wstążka, grzebień, świecidełko, nawet włóczka kolorowa wpleciona we włosy stanowi uciechę niemalą. Na strojną suknię towarzyszki patrzą z zachwytem, korzą się przed jedwabną halką, której właścicielka nie jest już towarzyszką szarego tłumu, ale „panienką”. Wogóle klasowość, oparta na ekonomicznych warunkach, rozwinęta bardzo silnie — i ściśle przestrzegana. „Panienki” lekceważą szary tłum — mówią o nim z pogardą, mało się z nim zadają. Trzymają się gromadką, siedząc lub leżąc obok siebie na siennikach, przyczym ustalił się zwyczaj, że zajmują one w celi najlepsze miejsce, koniec pryczy od strony okien, najjaśniejszy i najdalej położony od leżących na ziemi staruch.

Najmniej stykałam się z tą grupą i może dlatego właśnie nie udało mi się wśród nich zaobserwować objawów współczucia, solidarności z tak bliską im jednak biedotą. „Panienki” zewnętrznie wyróżniają się strojem, sposobem życia (rozporządzając pieniędzmi, posyłają sobie na miasto po zakupy) — kultura ich jednak jest bardzo zewnętrzna, wiele z nich np. nie umie pisać, a w wybuchach gniewu, w obejściu codziennym są równie ordynarne jak najbiedniejsze ich towarzyszki.

Tak zwane „dziewczyny” czują się przeważnie czymś niższym od bogatszych swych towarzyszek.

zwykle są względem nich pokorne, usługne, a nawet jeśli są dumne i lekceważące, to w dumie tej i lekceważeniu czuć właśnie poczucie różnicy klasowej. Same najczęściej głodne i obdarte, pyszną się wobec nieprostitutek strojnymi towarzyszkami, ich elegancją, ich szczęściem. Raz wieczorem z dumą i zadowoleniem przyprowadziły do naszej celi (pozorując tę wizytę prośbą o nici) towarzyszkę, wystrojoną w jedwabną suknię, pokrytą wierzchem koronkowym. Nietylko nie rozumiały naszej obojętności na ten strój, ale czułam to, że na razie miały żal, iż tak mało zainteresowałyśmy się nim, że żadna nie podeszła obejrzeć go bliżej, ocenić należycie. Przyznaję, przykro mi było potem, że nie potrafiłam ucieszyć ich współczuciem ich radości, przykro mi było, że jedna z moich towarzyszek nazajutrz fakt ten wzięła za przedmiot do pogawędki umoralniającej.

Strój to jedyna ich radość życiowa!

Strojnisię żalując pięknej sukni do celi więziennej, często oddają stroje swe do przechowania oddziałowej, a siedzą przeważnie w bieliźnie i halkach, nie zdejmują jednak kolezyków, bransolet, świecideł, które zniszczeniu nie ulegają, a oczy cieszą. Z radością pozyczą od towarzyszek barwnych chusteczek, wstążek i błyskotek, aby się nimi choć przez krótką chwilę nacieszyć. Z drugiej strony te same ozdoby stanowią najczęściej przedmioty kradzieży w IV celi. Raz tylko słyszałam sprawę o ukradzeniu pieniędzy, czasem jedna biedota kradła drugiej koszulę lub spódnicę, ale najczęściej sprawy toczyły się o „zaginioną”: chustkę, wstążkę, grzebień, mufkę, woalkę i t. p.

A jednak, sama miałam takie zdarzenie: zginęła mi broszka, nie było jej kilka dni, pogodziłam się z tym. Gdy jedna z „dziewczyn” myła podłogę w naszej celi, (była w celi zupełnie sama) znalazłszy moją zgubę, zwróciła mi ją tak po prostu, naturalnie, że nie śmiałabym jej za to żadnym datkiem wynagrodzić.

.

Ogół dziewcząt „pracuje za ubranie i na ubranie”. Umowę z gospodyniami zakładów zawierają w ten sposób, że prostytutka otrzymuje od zakładu utrzymanie i ubranie, opłatę za jej pracę pobiera gospodyni (obsługują przeciętnie w ciągu nocy 5 gości). Tłumaczyły mi, że przy tym rodzaju umowy mogą się lepiej ubierać, bo gospodynie posiadają „zakładowe” ubranie eleganckie (dziewczęta ogólnie cierpią nędzę, nie mają nic, prócz długów). Nie czują, że tym sposobem nie dostają nic, oprócz tego, co ułatwia gospodyni ciąglenie z nich zysku. Wielokrotnie pisałyśmy do owych gospodyń w imieniu aresztowanych, skazanych na dłuższe siedzenie lub wysyłkę etapową, listy z prośbą o przyniesienie im bielizny na zmianę, ciepłej chustki i t. p. listy te najczęściej były bezskuteczne.

Od gości dziewczęta dostają bezpośrednio, do ręki „na cukierki” a właściwie przeważnie „na papierosy i wódkę”. Wszystkie bowiem palą i piją namiętnie, twierdząc, że bez tego podniecenia egzystować by nie mogły. Nie każdy gość daje „na cukierki”. Jedna z opowiadających zaznaczyła, że najlepiej płacą ci, którzy po grubijańsku się obchodzą i biją. (Sądząc z jej opowiadania, starała się to spostrzeżenie wyzyskać praktycznie). Największy zysk, zarobek w zawodzie prostytutki przedstawia łatwość okradania pijanych gości. Ogół aresztowanych za kradzież niechętnie o tym mówi, najczęściej pytane dają nieszczerze odpowiedzi, byleby uniknąć opinii „złodziejki”. Niektóre jednak mówiły śmiało i spokojnie o tym, że okradają. Jedna z poznanych przeze mnie dziewcząt, przy pierwszym spotkaniu naszym była bez grosza; za drugim razem, w kilkanaście dni później, miała 17 rb. Naiwnie zapytywałam ją, jakim sposobem aż tyle zarobiła. „Przecież ukradłam gościowi” odpowiedziała tak prosto, jakby to był najnaturalniejszy sposób zarobkowania. Krzywdzone i okradane ze wszystkiego, krzywdzą i okradają śmiało. Wogóle dla mężczyzn gości mają bezgraniczną pogardę, mówią o nich nie z oburzeniem, lecz z pogardliwym lekceważeniem, nie tyle jako o złych,

ile jako o głupcach. Ton ten uważam za powszechny; brzmi on tym silniej, im jednostka jest bardziej myśląca.

Sienkiewicz w „Bez dogmatu” opisuje jak damy należące do towarzystwa, miewają codzienną „godzinę sali”, na podobieństwo fechtmistrza fechtują się w zakresie flirtu, by nie wyjść z wprawy. Takie same godziny a raczej minuty sali widziałam w życiu aresztantek ratuszowych. Wodę na herbatę, obiad i śniadanie przynoszą na oddział kobiecy mężczyźni aresztanci. Te kilka minut, w czasie których wydaje się jedzenie, to chwile rozrywki towarzyskiej dla dziewcząt. Korytarz wrze gwarem. Próżno oddziałowa woła „Prędzej, bez romansów!” nie romans ale rozmowa płynie. Jedne z aresztantek śpieszą na korytarz zobaczyć znajomych, inne zasięgnąć wieści o znajomych odsiadujących areszt o piętro wyżej. Czasem są to pytania ciekawości towarzyskiej, częściej niespokojne pytania o człowieka, z którym wiąże ją sentyment lub wspólna sprawa, większość jednak w rozmowach tych szuka rozrywki, flirtu. Flirt to mniej lub więcej gruby, żarty często trywialne, komplementy, od których cywilizowane uszy „wiedną”. Na te kilkuminutowe spotkania jedne z aresztantek stroją się — ubierając, inne stroją się — rozbierając, (była w areszcie dziewczyna, która cały dzień chodziła porządnie ubrana, w „godzinach sali” zjawiała się na korytarzu stale w wyciętej koszuli, strojna w bransolety i kolczyki, jak dama na balu, przyczem z krzykiem zawstydzona uciekała, spotkawszy którą z politycznych).

Te flirty korytarzowe dawały nam niejaki wyobrażenie o życiu towarzyskim w formach odmiennych od tych, które spotykamy w „salonie”, odmienne formą... ale treścią podobne.

Jedna z moich towarzyszek chodziła stale do 1V celi czytać aresztantkom lub rozmawiać z nimi.

Cheiała prowadzić śpiewy chóralne, ale na to zwierzchność więzienna nie pozwoliła. O ile mi wiadomo była to pierwsza próba tego rodzaju w ratuszowym areszcie, wywoływała też zdumienie wśród administracji. Co p. W. może „im” powiedzieć? O czym może „z nimi” mówić?

Część tylko aresztantek brała udział w tych posiedzeniach. Większość starych i chorych obojętna jest na wszystko; pewna grupa usuwała się z fałszywą dumą, chcąc zaznaczyć swój pogardliwy stosunek do czytającej, rozmawiały w sali lub na korytarzu, głośno krytykowały ten nowy zwyczaj, pewna jednak liczba znajdowała w tych czytaniach przyjemność, rozrywkę o którą się potym dopominały same. Odczuwały serdeczną dobroć z jaką p. W. szła do nich niosąc im swój czas, swoją wiedzę, swoje prawdy. Panna W. nietylko czytywała, ale rozmawiała zazwyczaj o przeczytanej rzeczy, lub zbliżonych tematach, czasem celowo przeprowadzała dyskusję jakąś, umiejętnie wciągając w rozmowę słuchaczki. Konkretnym rezultatem jej pogadań higienicznych w IV celi było oderwanie zabitych okien i stałe wietrzenie celi. Co do wyboru książek czytanych, to wszystkie dyskusje przeprowadzone przez nas w tym kierunku były tylko teoretyczne; praktyka kazała korzystać z tych książek, jakie były pod ręką. Czytano tedy „Miłosierdzie gminy” Konopnickiej dwukrotnie dla dwóch grup, przy czym jedna ze starych kobiet domyśliła się z góry, jaką rolę odegra syn wobec ojca starego.

W Sienkiewicza: Bartku zwycięzcy podobał się humor.

Dalej czytano: Życie Jana Valjeana (przeróbkę z Nędzników, V. Hugo).

Sewera: Wiosnę.

Syrokomli: Spowiedź pana Korsaka, (słuchaczki nie odrazu umiały się oswoić z wierszowaną formą i odmiennym językiem).

Konopnickiej: ulotne wiersze; Staffa: Pieśni o Zdobycy słońca, (podołała się śpiewność) oraz, O łasce przebaczenia i t. p.

Silnie wierzę, że czytania takie dałyby wielu aresztantkom jasne, miłe chwile w niedoli aresztu, a może czasem jasna myśl, jasne wspomnienie w życie by z nimi poszło.

Biblioteka więzienna — to sprawa pierwszorzędnej wagi.

Większość prostytutek niechętnie mówi z nieprostytkami o swej doli. Wyjątkowo tylko *niepytane* skarżyły się na swoje życie, lub opowiadały o nim; najczęściej stosunkowo utyskują na biedę materialną, nie dotykając moralnej strony swego życia.

Spotykałam jednak jednostki jakby rozmyślnie rzucające nam w twarz swój cynizm.

Osobiście mało prowadziłam z nimi rozmów, słyszałam tylko rozmowy prowadzone przez moje towarzyszek, lub przez nie powtarzane. Poza tym patrzałam tylko bacznie na życie więzienne i z wypadków tego życia odgadywać się starałam tajnie duszy mieszkanek aresztu. Notatki moje dają mało faktycznego materiału z życia prostytucji, są to drobne spostrzeżenia robione nad *ludźmi* na tle życia więzennego. (Chciałabym nimi zwrócić uwagę na różnorodność typów psychicznych wśród prostytutek i na ich podobieństwo z typami spotykanymi we wszystkich sferach).

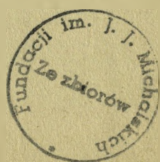
VI. Sylwetki.

Wśród dziewcząt, pożyczających od nas książki, jedna interesowała mnie specjalnie: ta, która ofiarowywała mi 200 rb. za umycie starej. Czoło miała jakieś jasne, szczere, obejście szlachetniejsze, spokojne, pełne godności, głos pewien siebie, w całym zachowaniu się—coś, czym panowała nad towarzyszkami. Przychodząc do nas do celi, zaznaczała swoje zamiłowanie do porządku, a nawet estetyki. O tym poczuciu este-

tycznym mówił sposób, w jaki się ubierała: ciemno a ładnie. Zawsze była czysto i względnie elegancko ubrana. Wybierając książki do czytania zaznaczała, że lubi specjalnie czytać powieści o rycerzach, bohaterach. Dawaliśmy jej zwykle książki historyczne. W godzinach obiadowych wychodziła na korytarz do mężczyzn, a nie biorąc udziału w flirtach, wypytywała o niejakiego K. Słyszając te pytania, ton, jakim mówiła, zrozumiałam jak głęboko ją ten K. obchodził. Wkrótce przypadkiem dowiedziałam się, że dziewczyna jest kochanką owego K, groźnego złodzieja i nożowca, znanego z zuchwalstwa.

Arcybaszew twierdzi, że wśród prostytutek, których zmysły są drażnione, gdy serce milczy, często zdarza się właśnie skłonność do idealizującej miłości. Nie umiem ocenić słuszności takiego ogólnego twierdzenia, ale u tej dziewczyny właśnie spostrzegłam silne uczucie połączone z rodzajem czci, uwielbienia dla ukochanego. Takiego tylko „rycerza”, „bohatera” udało jej się spotkać w życiu, dołą jego dzieliła w swoim odczuciu z podniesionym czołem. Była dumną z jego „bohaterstwa”.

F. polubiłam na niewidziane — zawarłyśmy bowiem znajomość przez zamknięte drzwi karcu. Rzecz się tak miała. Gdy kilka dni nie wyprowadzano aresztantek na spacer — przechadzały się po korytarzu więziennym (Avenue de la Douma). Dozorczynie twierdziła, że takie spacery po korytarzu są zabronione. Dziewczęta żądały, aby kilka z nich zaprowadzono do kancelarii „do naczelnika”. Wobec odmowy ze strony oddziałowej, wszczeła się kłótnia, wśród której jedna z dziewcząt rzuciła dozorczyńni obelgę: „Stara k...a”. Zelżona skazała ją za to drakońskim samowładnym sądem na 7 dni karcu. Dni były mroźne, w nieopalonym karcu było bardzo zimno. Służba więzienna chcąc doprowadzić F. do tego, aby się upokorzyła, straszyla dziewczynę wspomnieniem, że przed dwoma dniami w karcu leżał trup. F. nie uległa się.



Stojąc na stanowisku, iż nie jest „karana”, lecz „krzywdzona”, weszła do karcu butnie, z pieśnią rewolucyjną na ustach. Przez kilka godzin korytarz brzmiał jej śpiewem: „Krew naszą długo leją kaci”...

Śpiew ten był wyrazem jej uczuć w tej chwili — ale jednocześnie był zemstą nad oddziałową.

Uważając, że dziewczynie stała się krzywda, że dozorczyńni postąpiła z nią niesłusznie, że przebywanie w karcu w zimną noc musi być dla niej straszne, zwracaliśmy się w tej sprawie do naczelnika. Obiecał nam uwolnić uwięzioną, byleby, gdy on przyjdzie wieczór, robić t. zw. „powierkę”, F. poprosiła go o to (inaczej, ze względu na powagę oddziałowej zrobić nie mógł).¹⁾ Wiadomość tę podałam F. przez drzwi. Ał ona z dumą oświadczyła mi, że ponieważ ukarano ją niesłusznie, bo była delegatką i miała prawo „iść do naczelnika”, nie będzie ona o nic prosiła, ani za nic przeproszała — wreszcie, że ona nie jest takim tchórzem jak te, co ją wybrały a potem się za nią nie ujęły. Spędziła tedy dzień i noc w karcu, a nazajutrz skończyło się tym, że myśmy za nią musiały poprosić. Wyszła z karcu z twarzą mocno zapuchniętą — zapewniała nas jednak, że to zwykłe następstwo przebywania w zimnej bardzo celi. Przeniesiono ją do więzienia na Spokojną — tak, iż raz tylko widziałam się z nią. Wyglądała bardzo szaro. Fizjognomja jej nic nie mówiąca, zmieniła się odrazu, gdy zaczęła mówić

¹⁾ W tym miejscu zaznaczyć muszę, że obecny naczelnik więzienia jest człowiekiem, w stosunku do więźniów, uczciwym i ludzkim. Służbista, trzyma się przepisów więziennych, nigdy jednak osobiście nie utrudnia położenia więźnia, nie pogarsza jego niedoli. Przed 5 laty ratusz brzmiał wymyślaniami, uderzeniami służby, krzykiem i płaczem bitych więźniów, — teraz, przez ciąg mego dwumiesięcznego pobytu nie widziałam, ani nie słyszałam bicia, wymyślania więźniom przez zwierzchność więzienną. Ta sama służba pod innym naczelnikiem nabrała kulturalniejszego obejścia, bardziej ludzkiego — nauczyła się panować nad rękami i głosem.

o minionej awanturze. Uważała, że spotkała ją krzywdą od zwierzchności więziennej i od towarzyszek — szła naprzeciw niej z głową podniesioną, gotowa do walki.

O. młoda, mała, drobna, o czarnych, żywych oczach, zadartym nosku i bardzo krzykliwym głósie. W więzieniu była dobrze znaną i lubioną. W chwili, gdy do ratusza przyszła, wakował urząd „porządkowej”; powierzono go O. Zabrała się bardzo energicznie do nowych obowiązków, postanowiła zrobić porządek ze starymi, to jest te, które grzeszyły nieporządkiem, zaczęła wyrzucać na korytarz wiodący do „Dumy”. Powstałe stąd krzyki i lament — sprowadziły nas na korytarz — i tu poznałyśmy naszą nową „porządkową”. Porozumiałyśmy się bardzo prędko: O. doszła do przekonania, że starych wyrzucać nie można. Energję swą zwróciła natychmiast w innym kierunku — postanowiła „sprawiedliwie” rozdzielić pracę więzienną (mycie, sprzątanie i t. d.), zapędzić wszystkie do roboty. I znów zabrzmiał korytarz bardzo hałaśliwymi rozkazami O., krzykiem i płaczem chorych i warjatek. Zaczęłyśmy tedy tłumaczyć O. szczerze, że jest za młoda, za gwałtowna na sprawowanie tak odpowiedzialnego urzędu. Na to nasze twierdzenie zgodziła się natychmiast — bez żalu, dobrowolnie złożyła zaszczytną godność, którą z taką radością obejmowała. Wogóle z pozorów ostra, gwałtowna, dała się jak dziecko prowadzić. Było to rzeczywiście dziecko, wesołe, śpiewające, uśmiechnięte, ruchliwe, wszystko traktujące jak zabawkę, a przede wszystkim pragnące się wszystkim podobać. Czarną swą główkę owijała czerwoną chusteczką, wpinając w nią jeszcze pożyczone świecidełka; szczerzyła w uśmiechu ząbki do mężczyzn — aresztantów, do strażników, do oddziałowych, do towarzyszek, do nas wreszcie. Bawiąc się krzyczała i rządziła; dla podobania się nam (platonicznego, bo nic od nas nie

potrzebowała i nie brała), ścichła i zlagodniała w stosunku do towarzyszek. Nieraz myślałam — o chwili, gdy dziecku temu otworzą się oczy, o chwili, gdy trągiedja zarazy, wiszącej nad jej głową, stłumi śmiech.

Z., to młoda, 18-to letnia dziewczyna, od lat 3-eh prostytutka. Siostra cioteczna przywiozła ją z Żyrardowa do Warszawy „do służby”, a oddała do domu publicznego, w którym sama „pracowała”. Drobną, wątłą, niedorozwiniętą fizycznie, o nikłej, pospolitej twarzy, cicha, nieśmiała, wiecznie na usługach innych. Z. to jedna z tych biernych natur, które zawsze pójdą tam, dokąd ją pchną. Z zawodem jej łączyła ją tylko chęć ubrania się. Rozpytywała nas raz o teatr — skończyła tym, że żałuje, iż nie wstąpiła do teatru, bo tam łatwiej ładnie się ubrać. Z. z przerażeniem patrzyła w przyszłość, bojąc się zarazy. Czuło się, że łatwo bardzo porzuciłaby swój zawód, gdyby jej kto dopomógł — sama jednak nie będzie miała sił i energii, aby to uczynić. Aresztowana na ulicy za to, że nie stawiała się kilka razy z rzędu w komitecie sanitarnym, miała być odstawioną do miejsca urodzenia. Białała nad tym, co z sobą zrobić — nie miała ani grosza. „Pani” prowadząca zakład na listy Z. o przyniesieniu jej bielizny i kilku złotych na powrót do Warszawy — nie odpowiadała wcale. W Żyrardowie—do rodziców wstydzi się pójść, „bo jak im się pokaże?”. Z. umiała czytać i czytała chętnie; dziwnym przy jej braku inteligencji wydawało mi się upodobanie jej do poezji — „Piosenki” Konopnickiej, Asnyka podobały jej się lepiej niż powieści, a gdy raz dobrała się u nas do liryk Tetmajera — była nimi zachwycona.

Wogóle Z. było to małe, bezradne, głupie dziecko, bez temperamentu, bez inteligencji, bez możliwości zrozumienia i odczucia krzywd swoich życiowych. Ilek podobnych jej dziewcząt spotykałam w innych sferach, gdzie były cichymi, pocziwymi zerami...

Dozorcynie więzienne niejednokrotnie nas zapewniały, że gdy „przyjdzie H.” nie będziemy śmiały wejść do IV celi. H. bano się w ratuszowym areszcie. W opowieściach wyglądała jak legiendarny djabeł. Przyznaję, że oczekiwałyśmy z upragnieniem poznania się z nią. Zwiastował nam jej przybycie usłyszany na korytarzu obcy głos, bardzo hałaśliwy, o tonie bezwzględnym, rozkazującym, po pijacku ochryplym, głos wybuchający co chwila brutalnym śmiechem.

H. ma lat 22, gęstą rudą czuprynę, żywe bardzo, pełne wyrazu szare oczy, twarz dużą, bladą, nalaną, zmysłowe usta blade, bezkrwiste, ręce i nogi grube i ordynarne. W jej rozwichrzonej czuprynie i w oczach jest wyraz i życie, ale twarz i całe ciało robią wrażenie ciężkie, anemiczne, nabrzmiałe, bez wdzięku. Usta pełne śmiechu i żartu, ale w jej uśmiechu i żarcie brak zupełnie wesołości, — jest coś robionego, cynicznego i trywialnego. Czułam, że w duszy H. nie śmieje się nigdy.

H. ubrana jest niedbale, nieporządnie; całe dni chodziła bosa, roztargana. Wychodząc na spacer na podwórze, ubierała się w eleganckie palto, czesała modnie rozwichrzoną czuprynę, wdziwała buciki na wysokich obcasach, ale w ubraniu tym ruszała się sztucznie, czuło się, że jest jej w nim nieswojo. Nie spostrzegłam nigdy, aby ubraniem chciała imponować innym, albo żeby jej ubranie strojne imponowało. Lubowała się tylko w czerwonym kolorze: bluzki jej, spódnice, wstążki, nawet włóczka, którą zawiązywała włosy, były czerwone. Opowiadała, że lubi, aby do niej pisywano listy na czerwonym papierze zielonym atramentem: „kolory nadziei i miłości”. (Pisać nie umiała, ale niechętnie przyznawała się do tego).

H. była wiecznie w ruchu, choć prawie nigdy nie robiła nic. Gdy rozdawałyśmy roboty, chwytala każdą, lecz po chwili rzucała lub kazała komuś robić ją dla siebie, (raz tylko widziałam ją pracującą dłużej, gdy zmudnie nawlekała długi sznurek drobnych paciorków... czerwonych). Nie widziałam też nigdy,

aby brała udział w pracach około utrzymania porządku w celi — i nikt nie śmiał jej tego zaproponować. Czytania słuchała chętnie, biorąc udział w dyskusji, ujawniając przy tym dużo inteligencji i samodzielniego sądu.

W IV celi H. rządziła nieograniczenie; wszystkie towarzyszkki słuchały jej nie rozumując zupełnie. Nie należała do „panienek”, ale i te ulegały despotycznej władzy. Wogóle H. robiła wrażenie osoby stojącej oddzielnie, ponad tłumem.

Wpływu swego używała często na swoją korzyść, spokojnie wyzyskiwała inne, zabierając to, co jej się podobało; kazała sobie usługiwać, nie licząc się z nikim, zmuszała inne, aby stosowały się do jej woli. Nie klóciła się z nikim, wojen ze starymi nie prowadziła. Czasem nawet słabszym towarzyszkom, nowo-przybyłym śpieszyła z doraźną pomocą. Zdawało mi się nieraz, że egoistycznych swych zapędów wstydziała się wobec nas, pokrywając zawstydzenie brutalnym śmiechem, lub udanym cynizmem.

Jeżeli towarzyszkom imponowała silną wolą, śmiałością, sprytem, to zwierzchność jej bezpośrednia w więzieniu ulegała H. z innego powodu: bała się jej krzyków i awantur. Życie nauczyło H., że w jej położeniu broń to silna i posługiwała się nią często. Opowiadała nam niejednokrotnie jak w więzieniach, na etapach wywalczała sobie należne jej prawa, a nawet przywileje awanturami. Opowiadała np. jak, kiedyś w Łukowie w czasie okropnej niepogody nie chciano dać jej miejsca na wozie, chciano gnać pieszko na miejsce przeznaczenia; H. podniosła na rynku wrzask, że iść nie może, że strażnicy ją biją; tak krzyczała, tyle narobiła hałasu, że zebrał się tłum; nie tylko nikt nie śmiałby jej tknąć, ale żądaniu jej pierwszemu uczyniono zadość. Historję tę H. opowiadała z dumą i zadowoleniem. W ratuszu czując się chorą, żądała, aby ją przenieśli do „separatki” (oddzielnej celi)—żądanie to popierała groźbą awantury. Celę oddzielną dostała. W dwa dni powróciła z niej uspokojona, za-

dowolona, twierdząc, że lubi czasem być w ciszy i samotności. Smutne jej życie przekonało ją, że sprytnie tylko to życie ułatwić jej może, szła tedy w życie ze sprytem, dumna z niego; dumna i szczęśliwa nietylko wtedy, gdy sprytnie udało się jej uratować od nieszczęścia, uchronić przed krzywdą, lecz dumna i z tego, gdy sprytem udało się jej wywieść w pole, wyzyskać innych. Zdaje mi się, że w tej radości główną rolę grało nie zadowolenie ze zdobytego zysku, lecz radość ze swej siły. Cieszyła się, gdy „naciągnęła” kogoś na papicrosy. Rozczęstowała je, opowiadając przy tej sposobności ciągle o swym „nabraniu”.

W stosunku do nas zrazu zachowała się odpor- nie, nawet wrogo, nie chciała np. przyjąć podawanego jej lekarstwa. Wkrótce zawarła z nami ściślejsze stosunki: przychodziła często załatwiać z nami interesy swych towarzyszek (nici, igły, mydło, papier, pisanie listów, lekarstwa i t. p.) lub wprost na pogawędkę.

Przyznaję jednak, że w stosunku jej do nas było coś dla mnie przykrego. H. czuła doskonale, że otaczamy ją pewną życzliwością, że ją wyróżniamy, nie mogła się jednak zorientować „dlaczego”. Często próbowała grać na nas swymi żartami, cynizmem opowiadań, zdawało mi się, że z właściwym jej sprytem szuka gruntu, szuka: co się podoba. Były jednak i ładne odruchy w tym stosunku. Gdy zżyła się z nami, chętnie spieszyła nam z pomocą drobnymi przysługami (starannie pielęgnowała jedną chorą). Raz wieczorem przyprowadzono do cel politycznych nowe aresztantki; H. pospieszyła z pomocą przy instalowaniu się, przyniosła sienniki z odległego składu; śmiała się, że zapracowała sobie „na wódkę” — ale gdy nie znające jej „polityczne” naprawdę chciały jej ofiarować monetę za przysługę, H. obrazila się i nie przyjęła wynagrodzenia.

Inna scena osobiście miłe (zostawiła mi wspomnienie.

Miałyśmy w celi pęk czerwonych gwoździków — te jaskrawe kwiaty zachwycaly H. Na moją prośbę, aby wzięła sobie jeden, zrobiła to z wielką radością,

mówiąc wesoło do towarzyszek, że pošle ten kwiat kucharzowi na etapowym więzieniu. Słyszając to, prosiłam, aby wzięła drugi dla siebie, bo jeśli ona pragnie zrobić kwiatem przyjemność kucharzowi, to ja chciałam, aby kwiat dał jej chwilę przyjemności.

Sądziła, że zrobiła mi przykrość, chcąc oddać coś, co ode mnie otrzymała. Przestała żartować, spojrziała na mnie serdecznie i poważnie podziękowała, mówiąc, że o oddaniu kwiatu mówiła żartem, że schowa go na pamiątkę; w tonie jej była wtedy szczerza chęć zrobienia mi przyjemności.

Według opowiadań H. pochodziła ona z rodziny średnio zamożnej. Starsze rodzeństwo jej otrzymało jakoby jakieś wychowanie i naukę — ona tylko po śmierci matki była zaniedbaną. Ojciec miał „kochanicę”, „niby macochę”. O ojcu i jego kochance mówiła z gwałtowną, zawziętą nienawiścią. H. początkowo pracowała w fabryce, potem „na złość ojcu poszła na róg” — stając zawsze w okolicach, gdzie ojciec zanieszkował, „aby mu wstyd robić”. Gdy ojciec raz wyjechał na dłużej z Warszawy, wróciła na dwa miesiące do fabryki, ale gdy mówiono ciągle o jej poprawie, „złość ją porwała” — wróciła do poprzedniego życia. Życie to uważała za bardzo ciężkie; „gdyby nie wódka wytrzymałoby nie można”. Dnie całe spała i piła, by w nocy móc pić... i pracować. Jedną z moich towarzyszek, gorąca zwolenniczka antyalkoholizmu (pokutująca za tę ideję w areszcie ratuszowym) próbowała H. przedstawić szkodliwość alkoholu — rzuciła między innymi zapytanie, czy H. chciałaby aby jej córka tak piła. „Gdyby moje dziecko miało być takie, jak ja — roztrzaskałabym mu głowę. Moje dziecko musiałoby być takie, jak ja sobie myślę”. H. miała w duszy ideał człowieka; miała marzenie dla swojego dziecka.

H. obracała się w sferze nożowników. Opowiadania jej były też nieraz straszne. Brat jej, robotnik przy budowie III mostu, został „zażgany od nasłanych przez macochę”. Dziewczyna odgrażała się, że maco-

cha zginie przez nią „za brata”. Żalu jednak po bracie nie można było wyczuć, była dzika nienawiść do tej macochy.

O samym swym aresztowaniu opowiadała też jakąś krwawą tragedję wśród zamętu, w której ją aresztowano. W nóż i jego potęgę H. wierzyła bezgranicznie. Wspominała nam nieraz, że gdyby chciała wrócić do fabryki, to „musieliby” ją przyjąć, choćby inne mieli oddalić. Na razie nie rozumiałam na czym opiera tę pewność i wiarę. Okazało się, iż H. wierzyła, że nóż i do fabryki wprowadzić ją może.

We flirtcie korytarzowym H. mało brała udziału; czasem jakby „dla szyku” rzucała przychodzącym mężczyznom trywjalne żarty, wybuchy dzikiego śmiechu; nie było w tym chęci podobania się, raczej jakieś cyniczne lekceważenie i pogarda. Natomiast, gdy raz jedna z politycznych przedstawiała jej w rządzie krzywd życiowych prostytutki „brak jasnego szczęścia miłości” — H. z wybuchem śmiechu rzuciła w twarz przekonywającej ją inteligientki: „Gdy ja świsnę tylko — to przyleci z nożem, gdy będę chciała — to ju cha popłynie”. W tej możności rozporządzania ręką uzbrojoną w nóż, widziała szczęście — dar miłości.

Nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, że H. w opowiadaniach swoich puszczała nieraz wodze bujnej fantazji, pozwalała sobie w opowieściach iść dalej niż prawda. Czasem robiła to rozmyślnie, celowo, sądząc, że tym zaimponuje nam, zainteresuje specjalnie. Z drugiej jednak strony czułam czasem, że przy wielkim swym cynizmie H. nagle zażenowała się własnym opowiadaniem. Spuszczała wtedy głowę, przebieierała szeroko rękoma i nogami i widać było, że myśl jej usilnie pracuje, aby szybko znaleźć sposób zmienienia tematu rozmowy. To samo zdarzało się stale, gdy usiłowano ją przekonać, że ma jeszcze taki szmat życia przed sobą, że może wieść je w innej, lepszej formie. Było wtedy tak, jakby dotykano bolącej rany na jej duszy i jakby ona broniła się przeciw dotykaniu tej rany.

Poświęciłam H. tyle miejsca, bo jednak z pomiędzy wszystkich poznanych przeze mnie dziewcząt bezwzględnie ona była najwięcej „kims”. Czulo się w niej silną indywidualność, dumę, siłę woli, inteligencję. Wszystko to życie spaczyło. Zapewne była to jedna z tych natur, które nie potrafią się nigdy ułożyć w ciasne warunki obecnego życia — było w niej coś z burzy i z wichru, szamotała się dzika, nieokiełznana dusza, która jednak mogła wzlecieć tak wysoko jak nisko upadła. H. musiała żyć w wirze walki. Życie nie dało jej duszy radości rzeczy pięknych i miłości godnych, — nauczyło tylko pogardzać i nienawidzić; przymusem zaś zwalczając szamocące się w niej zło, nie pozwoliło mu wyrazić się w twórczej potężnej dobra, w bohaterkiej walce ducha,—złamało ją i pchnęło na dno.

VII. My i one.

Tradycja dzikiego, wiekami uświęconego stosunku społeczeństwa do najniższej jego służki, parjasa, prostytutki, odbijała się na naszych stosunkach do młodych towarzyszek z IV celi. Stosunek ten nie był nigdy prostym, zwykłym stosunkiem człowieka do człowieka, był on zawsze stosunkiem prostytutki do nieprostitutki i odwrotnie.

Większość prostytutek przywykła patrzeć na siebie jako na coś małego, nikłego, z pokornym schyleniem głowy usuwając się z drogi „uczciwej”, „porządnej”, „nieprostitutce”. Uważając za coś nadzwyczajnego traktowanie ich jako ludzi, cieszą się nawet formami grzeczności. Oto kilka drobnych scen. Żegnając na korytarzu młodzieńką Z. idącą na etap, ucałowałam jej stroskaną twarzyczkę. Po chwili dziewczyna zastukała jeszcze do moich drzwi: przyszła mi podziękować, że pocałowałam ją „przy wszystkich”.

Rozmawiającej z nami H. podałyśmy, częstuując ją, pudełko ze smażonymi kasztanami. H. przyjęła to

bardzo poważnie: uroczyście wzięła szczypczyki, rozszerzyła je, włożyła w nie kasztan i szczypcami zaniosła go do ust. Wszystko to robiła z namaszczeniem. Scena była długa, męcząca. Natychmiast, bezpośrednio potem, H. zaczęła nagle opowiadać nam, jak raz w aptece i raz w cyrkułe, wzięto ją za „porządną”, jak z nią „poważnie” jeden pan rozmawiał. To podanie jej cukierków w pudełku, jak zwykłemu gościowi, przypomniało jej jedyne widocznie dwie chwile w życiu, gdy ją potraktowano tylko jak człowieka, nie jak prostytutkę.

U ogółu zabito już wszelką wiarę w duszę własną (czy może być większa krzywda!). Raz jednej z dziewcząt ofiarowałam biały kwiat. Powstał szyderczy śmiech: „ prostytutce—biały kwiat niewinności”. Mimo mej woli, nie skończyło się na obronie białych kwiatów, które niekoniecznie mają symbolizować niewinność, rozmowa przeszła na temat niewinności i tego, czy z życia zewnętrznego można przesądzać o niewinności duszy. Rzucenie tego pytania na razie wywołało milczenie, ale potem słyszałam na korytarzu rozprawę nad tą kwestją. Ogół poruszał ją ze śmiechem.

U pewnej, niewielkiej zresztą liczby prostytutek wyczuwało się jakąś dumę, godność osobistą. Te dumne odnosiły się do nas najczęściej wrogo, niechętnie. Zdawało mi się, że w tej niechęci był pewien rodzaj pogardy, pogardy jaką ma pokrzywdzony względem krzywdzicieli, uprzywilejowanych.

Trzeba wielkiej prostoty, wielkiej głębi prawdy duszy własnej, aby mimo wszelkich starych przesądów zachować zawsze ten stosunek prawdziwy. Jak łatwo siłą przyzwyczajenia z drogi owej zejść, świadczyć może fakt następujący.

Jedna z naszych towarzyszek, ta która nietylko czas swój, ale serce swoje niosła w ofierze, kiedyś weszła do celi naszej z radosną nowiną: „Udało mi się w IV celi wyłowić polityczną, przeniesiemy ją do celi dla politycznych”. Ta chęć zabrania politycznej z celi

IV, było przecież ciężką naszą winą wobec aresztantek, było rzuceniem im w twarz, że w głębi duszy uważamy je za takie niskie, niegodne towarzyszki, że nie wchodząc w wartość człowieka, z góry rozstrzygamy o nim wyrazami „polityczna”, prostytutka”. A przecież to był pierwszy odruch. Dopiero rozmyślenia, dyskusje doprowadziły do wniosku, że trzymanie się w oddzielnej celi możemy i wobec nich i wobec siebie *usprawiedliwić* tylko jednym: przyzwyczajeniem do pewnych warunków lokalnych życia, skutkiem czego nie istnieje dla nas możliwość życia tam, gdzie one (z innymi przyzwyczajeniami) żyć jeszcze mogą. Takie może być jedyne usprawiedliwienie — podziału na kategorie: politycznych i prostytutek.

Stosunek nasz do prostytutek nie był prosty, był sztucznie stwarzany, obmyślony, celowy, był on przedmiotem częstych wśród nas dyskusji. Zdania ścierały się. Jedne z chrześcijańską, siostrzaną miłością chciały się zbliżyć, aby „upadłe” podnieść, umoralnić, chciały korzystać z każdej okoliczności, z każdego zdarzenia aby pomóc, ratować; starały się w rozmowie poruszać kwestję ich życia, aby poznać nieszczęście, z którym chciały walczyć, i jednocześnie otwierać oczy tamtych na stronę moralną ich życia, na „jego ohydę”, na jego krzywdy.

Inne odrzucały drogę umoralnienia nie tylko dla tego, że nie wierzyły w jej skuteczność, że nie przyznawały sobie t. j. obcym i obojętnym ludziom prawa wchodzenia w życie osobiste jednostki ludzkiej, lecz z jednej strony bały się dotykania przedmiotu, który mógł być bolączką duchową, a z drugiej strony w życiu prostytutki widziały nie winy, lecz krzywdy. Chciały swój stosunek do prostytutki upodobnić do stosunku z wszystkimi innymi ludźmi; jeśli stawiały sobie cel jakiś, to danie im możliwości życia, (choć przez te chwile kilka), życiem normalnych ludzi.

Osobiście stoję na tym drugim stanowisku. Zbliżając się do prostytutki—silniej niż litość, czuję wstyd osobisty, współodpowiedzialność za krzywdę jej wy-

rzządzaną. Za krzywdzicieli uważam nietylko kupującego ją mężczyznę, nietylko wyzyskujących ją pośredników, ale całe społeczeństwo, gdy za nawias ludzkości usuwa tę, której usług jedni żądają, a inni te żądania tolerują. Zdaje mi się, że walka z prostytutką to nie pogardzanie prostytutkami, lecz szczepienie poszanowania ducha ludzkiego, szczepienie kultu miłości. Względem prostytutki jedyny nasz obowiązek a może i jedyny ratunek: *dążenie do przywrócenia jej pełni praw ludzkich*, tych praw, których nikt nie odmawia jej współuczestnikowi. Wierzę, że uszlachetni jej życie nie wykazywanie jego „ohydy”, lecz pokazanie jej całego piękna i światła, jakie życie dać może; nie umieszczanie w zamkniętych przytułkach i domach poprawy, lecz odsłanianie przed nią widnokregu tak szerokiego, jaki oczy jej dojrzeć, a dusza objąć jest w stanie.

Jako wspomnienie dni ratuszowych stoją przed oczyma dwa obrazy:

Z jednej strony lumpen-proletariat, gwałcący prawo społeczne, gdy wszystkie jego prawa *ludzkie* społeczeństwo zdeptało i zgwałciło. Z drugiej strony my, co współżyjąc z olbrzymią krzywdą ludzką, w pełnym hipokryzji milczeniu szczerze zamykamy oczy: nie chcemy widzieć.

Lecz gdy na chwilę wzrokiem ją zmierzymy, usta szepeczą bezwiednie słowa poety:

A mnie, o Panie, żywot bogobojny,
I nędzne cnoty me przebac z litością,
I białe łoże, gdzie skcnam spokojny,
I tych, co oczy mi zamkną z miłością.

Staff.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-68

F

22.940